



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Artykuł "|Odczyt lubelski Komendanta (Garść wrażeń)..."

Liczba stron oryginału

2

Liczba plików skanów

3

Liczba plików publikacji

3

Sygnatura/numer zespołu

TR 038.032

Data wydania oryginału

1924

Projekt/Sponsor digitalizacji

Dofinansowano ze środków WPR Kultura+



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.



NARODOWY  
INSTYTUT  
AUDIOWIZUALNY

**KULTURA+**

01 001  
Digitalizacja



Cieszyń Polski, Sienkiewicza 15

Śląsk

Regerowa Michalina

1

Redakcja i Administracja  
Kraków, Dunajewskiego 5.

Telefon Redakcji Nr. 396.

Telefon Administracji Nr. 310.

Adres telegr.: Naprzód Kraków,

# PRZÓD

ORGAN POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Miesięcznie

3 zł. 50 gr.

Zagranicą miesięcznie 7 złotych

Tygodniowo w Krakowie 80 groszy

Wychodzi codziennie o g. 6 rano  
z wyjątkiem dni poświątecznych.

Konto PKO Kraków Nr. 400.670

## Endeckie efemerydy

Kolejno padają i w zapomnienie idą wielkości endeckie.

O Dmowskim nie mówi się: to genjusz na emeryturze, zdolny już tylko do budowania sobie mauzoleum z ewentualnym napisem: Roman Zwycięzca, który czcił Romanów, nie nawidził romantyków i własnym sposobem odbudował Polskę.

W żywym życiu politycznym endecja wysuwała inne znakomitości. Wszystkie jednak wypaliły się rychło. Zaczniemy od synów Marsa. Któż nie pamięta, jak endecka prasa otrębywała wielkość gen. Dowbora Muśnickiego. „Rzeczpospolita” szczyciła się jego współpracownictwem. Co dowborowe — było doborowe, genjalne nawet!

Dziś po Dowborze nie pozostało wiórka.

Usiłował on przy ostatnich wyborach wypłynąć, jako kandydat mieszczan poznańskich: uwiesił się na słabym łyżku — a chjena stratoła i mieszczan i ich generała.

Jego generałem był już wtedy wyłącznie Haller. Dźwignęła go na najwyższy piedestał: zostawiła nierozstrzygniętem, czy „cud nad Wisłą” zdziałał był Weygand, czy Matka Boska, czy On? Gen. Haller jaśniał na czele jej list wyborczych do Sejmu. „Rzeczpospolita” na wstępie redakcyjnej, codziennie w okresie przedwyborczym drukowanej, przytaczała jako najznakomitszych kandydatów do Sejmu i Senatu — te trzy nazwiska: **Haller, Korfanty, Trąpczyński**, co w początkowych literach składało się dość niefortunnie na HKT.

Wiemy, że gen. Haller zasłynął tylko, jako mówca balkonowy w dobie wielkiej Olimpiady endeckiej w Warszawie, kiedy „narodowa” młodzież ćwiczyła się w rzucaniu nie greckich dysków, ale rodzimego błota na prezydenta Rzeczypospolitej, a atletycznych chwytów próbowała na posłach i senatorach.

Po tych podniosłych uroczystościach gen. Haller, jako polityk, jako poseł sejmowy — już nie odznaczył się niczem: niezbędność w Sejmie tego luminarza nie dała się niczem udowodnić.

Korfanty — któż nie pamięta, jak na rozkaz endecki taż sama młodzież „narodowa” odpręgała mu konie — dziś ten miliard górnośląski imponuje endekom swoją fortuną, pierwszą w Polsce, ale „blask” jego nazwiska tonie w oparach różnych afer, w których pozycja tego zarysowuje się i dla sympatyków niezbyt wyraźnie... Korfantego już dziś nie może użyć endecja, jako sztandarowego męża chjeny.

Trąpczyński? Pan marszałek miał pewien głos, póki przewodził Sejmowi. Świetnie ujął swoją laską marszałkowską, jak laską rodzicielską, wywoływać niespodziewane wet burze w Sejmie; w Senacie — starościn, gdzie przeważają osoby, zniewolone do ważnego traktowania swojego zdrowia — tej atmosferze — p. Trąpczyński mniej się przypomina ogółowi. I endecy nawet dziś nie lubią galwanizować jego przebrzmiałej sławy...

Z tego więc HKT „Rzeczypospolitej” nic nie pozostało.

Genjuszów trzeba było szukać i tworzyć nowych. Wyrósł na takiego genialnego endeka p. Kucharski. Endecja dzwoniła na dyktaturę dlań finansową. Wiemy, iż marka wyszła z jego rąk gorzej, niż ów anegdotyczny Majer z niewoli tureckiej. Po dyktatorsku rozstrzygnął jedną tylko sprawę: Żyrardowa. Ten akt kosztował Polskę półtrzecia miliona franków. Na tym genjusz z Zabłocia wyszła Polska gorzej, niż Zabłocki z przysłowia.

I endecja postawiła nad nim krzyżyk.

A genjusze wypożyczone? Oto naprzykład Piasto-Kiernik, którego endecja musiała obmywać, suszyć i odwonić po tem wszystkim, czem go polewała; a czyniła to, wierząc, że Nike Kiernika odniesie triumf nad robotnikiem i urzędnikiem. Co z tej pozostało chluby?

Tymczasem endeckiej fabryce potrzeba nazwisk afiszowych.

## Odczyt lubelski Komendanta

(GARŚĆ WRAŻEN)

Wiadomo wszystkim, że Komendant Piłsudski przyjechał z Ostroga mocno zaziębiony, na mszy w Jastkowie więc być nie mógł — i to zaciążyło przynębieniem i niepokojem na atmosferze całego zjazdu. Wiem, że oszczędzał siły na odczyt — uważając go widocznie za moment najważniejszy — lecz czy Mu ich starczy? Jaki będzie temat — o tem nawet adiutant nie potrafił mnie poinformować, chodzą tylko pogłoski, że Komendant ma mówić około 2 godzin, pomimo sprzeciwu lekarza. Sala napchana naprawdę „po brzegi”, wentylacja niedostateczna, co może oddziaływać fatalnie na osłabione serce... Co to będzie?

Nareszcie zjawia się na estradzie szary mundur wśród burzy oklasków. Dziś wygląda właśnie na swoje 57 lat — zaczyna rozpamiętywać nasze dzieściolecio, spokojnie, niezbyt głośno, prawie bez gestykulacji. A przecież co za bajeczna plastyka słowa! Wiemy wszyscy, że wojna była katastrofa, pograniczem 2 epok — a mamy teraz wrażenie, żeśmy dopiero zrozumieli to w całej pełni po raz pierwszy — tak żywym jest obraz, wyczarowany słowami mowcy. Widzimy, jak bucha ogień z wulkanicznych kraterów, jak płynie straszliwa rzeka lawy — jak walą się jedne lądy, a drugie wynurzają się z oceanów...

I nagle wśród tego pada słówko „znalezisko” — z trudnością hamuję wybuch śmiechu, bo poznaję reminiscencję z wesołych przekomarzań się z pewnym profesorem archeologii na całkiem towarzyskim tle zjazdu 1-ch Beliniaków...

„Czy pamiętacie — woła teraz Komendant owe ichtjozaury, potwory przedpotopowe, jak wtedy (przed wojną) zginały w pałak łuską pokryte grzbiety, skromnie podwijając ogony i strzygły tylko ciekawie wiewiórczymi uszkami? A dziś — patrzcie, jak uganiają, rozpuściwszy na wiatr swe wspaniałe, jaszczurcze ogony! i z paszcz zięją siarkowodorem...”

I nic więcej — ani słowa komentarza — a jakże dobrze poznajemy te „ichtjozaury”! Już teraz jestem pewna, że Komendant ma swój „dobry dzień”.

I znow się zmienia głos, ton, wyraz. Cóż za straszliwa, nieludzka gorzycz brzmi w tem frywolnem francuskim powiedzeniu: „Najpie-

kniejsza nawet kobieta może oddać tylko to, co ma” — „Polska oddała obcym wszystko — krew, i mienie” — dodaje mowca swoim najtwardszym głosem.

Widzimy w tej chwili Polskę, jako kobietę odartą ze czci, sponiewieraną — tę, co niczego nie umiała odmówić najeźdźcy i, postawiona pomiędzy śmiercią a hańbą — hańbę wybrała. „Odwieczna decyzja słabych”...

O, Komendancie!!! wiemy wszak dobrze, za co Cię tak kochamy — a przecie w tym momencie owa najgłębsza racja naszego uczucia staje się tak żywa, wyraźna, dotykająca niemał, jak był materialny. Wyczarowana Twemi słowy, modulacją głosu — iści się w tej sali rzadka, bezcenna chwila najgłębszych uświadczeń. Czujemy całą duszą, że tu szło o coś więcej, niż rachuby politycznej doradzie korzyści zbiorowe — że oto jeden człowiek uratował honor naszego pokolenia i całego narodu. Zaiste, spełnił rzecz „niemożliwą do wykonania, niepodobną do wiary”...

A potem zaczął mówić o nas, cośmy mieli szczęście Mu pomagać w tym trudzie nadludzkim. Co za ciepło w głosie, co za głęboka tkliwość! Tam zwłazcza, gdzie wspomina „tego warjata, tak zwanego Belinę”, jego „śmieszne” rabaty ulańskie na kurtce strzeleckiej i śmieszne marzenie o polskiej kawalerii, a potem dzikie 120<sup>o</sup> wiorstowe „raidy” wywiadowcze za kieleckich czasów, siódła angielskie i... „siedzenia, posiekane na kotlety”! Po wieczne czasy zazdrośną będzie piechota o ten dowód „słabości” Wodza do ulańów...

W tej chwili spostrzegam, że Komendantowi jakby z 15 lat ubyło — postawa i ruchy pełne sprężystej siły — głos staje się grzmiący, ogarnia i elektryzuje całą salę. Jest w pełni artysta, gdy, odpierając zarzut „romantyzmu”, maluje czarujący obrazek: maleńkie dziecko na kolanach matki, nieporadną rączką sięgające pożądliwie po świecidełko... „Już — już dosięga i chwytą — kosmyk matki! Oto prototyp tego, co u nas nazywają romantyzmem. Czyż można nasz czyn określać tem mianem?! My chwyciliśmy nasze świecidełko — tu tupnął nogą, odrzucając w tył głowę całkiem młodzieńczo — i mocno je trzymamy!”

Wówczas sala wybuchła grzmiotem oklasków i długo, długo nie mogła się uspokoić. Kilko tysięczne audytorjum złało się już w jedną całość i reagowało odtąd nieomylnie na najistotniejsze momenty odczytu — jednym wspólnym, potężnym sercem rozbudzonego, uduchowionego tłumu.

Posądzam, że nawet obecni gdzieś endecy poczuili na chwilę — wstręt do własnych kłamstw, kiedy Komendant wykrzyknął: „jakie to brzydkie”! — kiedy Jego wymowny gest odrazu przebiegł jakby dreszczem po sali.

Były w tym odczycie akcenty mocne i twarde jak stal — były inne, tkliwe i czułe nieopisanie — były mistrzowskie obrazy i subtelne niedopowiedzenia — było umiłowanie przeszłości i dumna świadomość dokonanych czynów — i perspektywy, otwarte gdzieś w dal niedocieczona.

To Jego wielka dusza otworzyła się przed nami — Józef Piłsudski stał tam, na estradzie sali „Corso” takim, jakim stanie przed sądem historii i przed oczyma niezliczonych pokoleń!

A kiedy skończył — oszalała cała sala. Nie mogąc się doczekać końca oklasków i okrzyków nakazał ciszę jednym ruchem ramienia — później drugim, tak władnym, że w jednym momencie nastąpiła zupełna cisza.

„Teraz zaśpiewajcie mi panowie „Pierwszą Brygadę” zabrzmiał donośny rozkaz i rozpętała się burza śpiewu i zbliżała się ku estradzie, do której biegli wszyscy, powstawszy z miejsc — podpływała mu do stóp, jak fala. A On śpiewał razem z nami — stojąc wyprostowany na podwyższeniu, zwarty z tłumem dumnymi i radosnymi oczyma zwycięzcy — ten sam, co prowadził do boju, ten sam nieśmiertelnie młody!

Z. Z.



# Niespodzianki budżetowe

Tolstoj w kapitalnem swem dziele „Wojna i pokój” określa waleczność jako wynik obawy przed cofaniem się. To określenie wielkiego pisarza można zastosować do naszego ministra skarbu, który walecznie idzie po wytkniętej sobie drodze sanacyjnej z obawy, aby cofaniem się nie wywołać jeszcze większej klęski. A mimo tej waleczności klęska staje się coraz widoczniejszą i są oznaki, że będzie ona w miarę zbliżania się do końca roku budżetowego coraz większa.

Gdy Sejm w pierwszych dniach lipca uchwalił pierwszy od istnienia państwa polskiego budżet, zachwytem nie było końca. Radowano się podwójnie: 1) że budżet wogóle został uchwalony, co miało być dowodem konsolidacji naszych stosunków finansowych, 2) że budżet zamyka się niewielkim stosunkowo deficytem, który przy oszczędnościach (redukcje!) i przy rzetelnym płaceniu podatków łatwo będzie wyrównać. Tak wyglądała poezja, a jak wygląda proza?

Wedle ogłosz. przez minist. skarbu komunikatu zamknięcia kasowe za lipiec wykazują dochody w wysokości 132 miliony złotych, wydatki 154 miliony, tak, że deficyt za ten jeden miesiąc wynosi 22 miliony złotych. Ponieważ rok ma 12 miesięcy, więc deficyt całoroczny miałby wynosić 264 miliony złotych? Nie, tak źle nie jest, bo są różne środki zaradcze, ale w każdym razie nie jest tak dobrze, jak nam po uchwaleniu budżetu mówiono.

Pisząc o uchwaleniu budżetu („Naprzód” Nr 150 z 17 lipca), zrobiliśmy następującą uwagę: „Można bowiem uchwalić, że wydatki na r. 1924 mają wynosić okragło 1.5 miljarda złotych; można też zakreślić dochodom granicę 1422 milionów — w nadziei, że „jakoś się uda” tę granicę utrzymać”. Pokazuje się, że „jakoś się udaje”, ale jakim kosztem? Oto dowiadujemy się, że 22 milionowy deficyt za lipiec pokryto w drodze kredytowej; dowiadujemy się, że ministerstwo skarbu poleciło bez miłosierdzia wyegzekwować zaległe raty podatku majątkowego, słyszymy o olbrzymich dochodach monopolu tytoniowego i równocześnie o zamiarze „zaokrąglenia” cen wyrobów tytoniowych.

Co to wszystko znaczy? Droga kredytowa — to są nowe pożyczki. A nie można powiedzieć, jakoby pożyczka była normalnym dochodem budżetowym; przeciwnie — powoduje ona normalny wydatek budżetowy w formie odsetek i amortyzacji. Zresztą pokrywanie deficytów pożyczkami

jest najgorszą metodą gospodarki finansowej, nie mówiąc już o tem, że zadaje ona kłam tak szumnie głoszonej zasadzie o „samostarczalności”.

W cytowanym powyżej artykule był też następujący zwrot: „Można z całą stanowczością już dziś przyjąć jako pewnik, że zamknięcie rachunkowe wykaże zupełnie inne cyfry, niż te, które budżet ustali”. Nie mamy naturalnie jeszcze zamknięcia rachunkowego całorocznego, ale miesięczne wystarczą, aby usprawiedliwić nasze obawy. 20 milionów z okładem deficytu w jednym miesiącu i to przy ciągłym wzroście wszystkich podatków i dochodów monopolowych — to więcej aniżeli najczarniejszy pesymista mógł przypuścić.

Gdzie leży źródło zła? Trzeba stwierdzić, że i dochodowa i wydatkowa strona budżetu zawiodły. Jeżeli — jak zamknięcie rachunkowe wykazuje — wydatki administracyjne były o 33 miliony wyższe od dochodów; jeżeli dalej się zważy, że dochody z przedsiębiorstw państwowych — głównie z kolei — wynoszą zaledwie dziesiątą część dochodów, musimy dojść do wniosku, że cały budżet był robiony na kolanie, że był on tylko tematem, a nie rzeczywistością odzwierciedleniem gospodarki finansowej państwa.

Ten stan rzeczy nie jest nawet niespodzianką dla tych, którzy odrazu mieli podejrzenie, że forsowanie uchwalenia budżetu ma na celu tylko podniesienie prestigu naszych Mesjaszów skarbowych, w mniejszym zaś stopniu ułożenie planu gospodarczego na cały rok. Niemala to bowiem rzecz być tym, który ułożył i przez rary sejmowe przeprowadził pierwszy budżet, a że życie okazało się inne, aniżeli w kolumnach cyfrowych je ułożono, któż na to poradzi? Nikt nie jest przecież prorokiem, a ministrowie i dyrektorzy departamentów nie mogą z tej reguły być wyjątkami.

Teraz, gdy już 8 miesięcy roku budżetowego minęło i gdy — jak czytaliśmy — robi się już przygotowania do ułożenia budżetu na rok 1925, zapóźno na żale i narzekania. Trzeba raczej z przeczności wyciągać naukę, jak się budżetu układać nie powinno, jak samo liczenie na ofiarność społeczeństwa pobudzana śrubą podatkową nie wystarcza na dociągnięcie dochodów do tych cyfr, jakie na ślepo w odpowiednie rubryki wstawiono. A w dodatku rząd nie uwzględnił jednego czynnika, mianowicie, że wywołując sanacją finansową kryzys gospodarczy zabił kurę, niosącą złote jaja, tj. źródło podatków pośrednich.

tości praktycznej, że z równem potakiwaniem czytają tacy ludzie wywody, apelujące do ich dawniejszej czci dla powstań, jak i do późniejszych, coraz częściej ponawiających się pod firmą ich partii napaści na walki zbrojne o niepodległość.

Ale opinia szersza ma prawo żądać, ażeby w sprawie szanowania, czy szkalowania bohaterskiej przeszłości Polski obóz endecki z pod piór swoich wódzów nie wydobywał naprzemian zgrzytów i zachwytów — słowem nie uprawiał podwójnej gry!

Od siebie dodajemy tylko, że gdyby już dawniejsze pokolenia zamiast wytwarzać bojowników o wolność wytwarzały takich polityków, w których wyczuwałby p. Dmowski swoje wcześniejsze wcielenia — naród polski, w którym jeden pokład endecki zdusił tyle szlachetniejszych pierwiastków i takie spustoszenia umysłowe poczynił przedstawiałby w warstwach, ogarniętych endectwem obraz rozpaczliwy!

Jednym z talizmanów, który po części broni Polskę od tego spustoszenia moralnego — są właśnie te powstańcze przeżycia Polski...

## Snowden i Mac Donald

Przed kilku dniami obiegła prasę pogłoska, że między Mac Donaldem a jego ministrem skarbu Filipem Snowdenem wybuchł zatarg. Powodem miało być niezadowolenie Snowdena z polityki premjera, który na konferencji londyńskiej miał zrobić Niemcom ustępstwa, szkodliwe dla handlu angielskiego. W szczególności miało chodzić o to, że wywóz węgla niemieckiego do Francji może zaszkodzić angielskiemu przemysłowi węglowemu. Pogłoskom tym zaprzeczano i okazuje się, że Snowden nie myśli o wywołaniu w partii pracy frondy przeciw swemu szefowi. Prawdą jest, że obaj ci mężowie przedstawiają inny odcień socjalizmu angielskiego. Mac Donald był zawsze oportunistą, który różnemi drogami kroczył do swego celu, Snowden zaś zawsze był radykalniejszy i dążył do utworzenia granicy między partią a burżuazją, chociaż radykalizm jego trzeba brać wedle pojęć angielskich, różnych od pojęć na kontynencie.

Co się tyczy konferencji londyńskiej, to Snowden nie był zdania, że należy wobec Niemców zastosować inną taktykę odnośnie do opróżnienia zagłębia Ruhry, przeciwnie, przyznaje on, że taktyka Mac Donalda była konieczną ze względu na różne okoliczności. Mimo to Snowden nie potrafił czy nie chciał wstrzymać się od wypowiedzenia pod adresem Francji kilku gorzkich słów, co zresztą leżało w jego charakterze jako — jak go nazywano — wroga Francji. Jego wystąpienie w rzeczywistości nie było skierowane przeciw Francji, ani też nie miało na celu przysłużenia się Niemcom; chciał on tylko dać wyraz swemu zaniepokojeniu losem angielskiego przemysłu i angielskich robotników przemysłowych. Myśl jego szła w tym kierunku, że Francja dlatego chce podtrzymać okupację zagłębia Ruhry, aby mieć narzędzie do wywarcia nacisku na Niemcach przy układach o traktat handlowy, aby Francja mogła uzyskać korzyści, które zaszkodziłyby przemysłowi angielskiemu, uniemożliwiając mu konkurencję.

Można pojąć, że ta perspektywa niepokoi Snowdena. Sądzi on i zupełnie słusznie, że Niemcy dla uzyskania zniesienia okupacji gotowe są przyznać Francji specjalne taryfy cłowe dla jej przemysłu tekstylnego i metalurgicznego, podczas gdy wyroby angielskie podlegałyby zwykłym wysokim (autonomicznym) taryfom cłowym. Taką konkurencję Snowden nazywa nieszlachetną.

Wogóle trzeba zaznaczyć, że w Anglii panuje silne zaniepokojenie na punkcie przyszłych stosunków handlowych między Francją a Niemcami, tem bardziej, że wedle umowy londyńskiej Niemcy są dalej obowiązane do świadczeń rzeczowych na rzecz Francji, do dostawy węgla, koksu i chemikali poza rok 1930. Chodzi o to, czy Niemcy dla wyzwolenia zagłębia Ruhry przed terminem rocznym będą skłonne do dalszych koncesyj handlowych, co w rzeczywistości szkodziłoby interesom Anglii.

Z tych powodów zrozumiałe jest zaniepokojenie patrzącego w przyszłość Snowdena, ale od zaniżenia do nieporozumienia jeszcze daleko. Mac Donald, zajmując się wielką polityką, nie ogarnia horyzontów handlowych w tym stopniu, co Snowden, jednakowoż Mac Donald jest zbyt roztropny, aby nie miał posłuchać rad człowieka — specjalisty w kierunku dla Anglii najważniejszym. Mógł się obaw chwilowo nie rozumieć, ale w interesie ogólnym rychło się porozumiał.

## Politowania godna polityka

St. Grabski i R. Dmowski o powstaniach

Pan Stanisław Grabski ma swoje „doświadczenia”, p. Roman Dmowski swoje.

Pan Stanisław Grabski, chociaż się był blisko zetknął z grafem Bobrińskim podczas inwazji rosyjskiej na Lwów — może niekiedy, jak „romantyk” — podnosi wartość powstań polskich.

W swej serji artykułów pod tytułem: „Z pięciolletnich doświadczeń” pisze wódz endecji lwowskiej:

„Doświadczenie pięciu lat stwierdza: czynnikiem decydującym w życiu państwa polskiego, siłą kierującą rozwojem odbudowanej po półtorawiekowej niewoli Rzplitej — jest wykształcona w walkach o odzyskanie niepodległości opinia patriotyczna”.

Możnaby uważać, że p. Grabski, przeciwstawiając „walki” — „niewoli” nie ma jednak na myśli walk zbrojnych i tą nazwą przeważnie określa... gwałtowną akcję ugodową endeków w myśl wskazywek Balickiego, iż trzeba zmniejszać kąt odchylenia pomiędzy aspiracjami polskimi, a caratem. Ale nie. P. Grabski pod słowem walka o niepodległość rozumie i walkę rzeczywistą.

Pan Grabski pisze, że demokratyzm w Polsce kształcił się nie „przez walkę z absolutyzmem monarchicznym i przywilejami szlachty (a uniwersał Kościuszki?) ale przez walkę o niepodległość Polski”.

I tu p. Grabski wylicza powstania przeciwko „ciemnierzycielom Polski”. Nie mamy zamiaru posuwać się dalej za wywodami endeckiego publicysty, które wiodą oczywiście wkońcu w dziedzinę demaskowania intryg masonskich. Chodzi nam o to, że p. Grabski mieni się spadkobiercą dawniejszych walk o wolność (sic) i głosi, że „idealizm w Polsce tworzyła tylko walka o Polskę i poza nią były tylko egoizmy klasowe i małoduszne kompromisy”.

Wręcz przeciwnie (a powiemy z punktu widze-

nia endeckiej polityki bardziej słusznie) odgradza się p. Dmowski bardzo wyraźnie od tej przeszłości powstańczej, którą „romantycy” się chlubią... Jak wiadomo naszym czytelnikom — w swoich feljetonach pod tytułem: „Jak odbudowano Polskę” p. Dmowski wyrzucał cieniem powstańców, iż przez swoją manję powstańczą zacieśniaли węzły przyjaźni pomiędzy Rosją, a Prusami i wymawiał poprzednim pokoleniom, że nie znalazło się wśród nich dość ludzi tego hartu, który posiadał dopiero on, Dmowski, i że nie potrafili przeszkodzić samobójczej robocie powstańczej.

Z punktu widzenia p. Dmowskiego, poszukującego dla siebie i swojego obozu — protoplastów w dziejach porozbiorowych Polski, było to utyskiwanie słuszne i z lampą Dyogenesa możnaby ich szukać... Nie dlatego, iżby cały naród zgodnie popierał był powstania, ale że typy obojętne, twórcze lub służalcze nie ośmielały się masowo występować na forum i takimi środkami, jak endecy, szczepić w Polsce ugodę carystyczną i zwalczać zbuntowane dusze.

Spadło tedy na p. Dmowskiego brzemie zwalczania wspomnień powstańczych i organizowania swojego obozu na formułach nowych: „patriotyzmu...” wiernopoddanego dla dynastji Romanów, „patriotyzmu”, szanującego obcy dach nad głową — dach więzienny, a egzercytującego się i ekscytującego — walką z ludźmi innej wiary lub mowy pod tymże dachem. To również nie kwadrowało z hasłem: „Za naszą wolność i waszą”.

Ale nam chodzi tu nie o indywidualne sprzeczności w elaboratach pp. Grabskiego i Dmowskiego. Chodzi o to, ażeby endecja nie żonglowała przeszłością powstańczą Polski!

Może być, że „gros” czytelników endeckich znajduje się już w tej fazie bezkrytycyzmu i obojętności na prawdę, tam, gdzie nie ma ona war-